

Artyści w służbie władzom

26 stycznia 2021

„I tak ja widzę przyszłą w Polsce sztukę,
Jako chorągiew na prac ludzkich wieży,
Nie jak zabawkę ani jak naukę,
Lecz jak najwyższe z rzemiosł apostoła
I jak najniższą modlitwę anioła.”
Cyprian Kamil Norwid („Promethidion”, 1851)

Zdawać by się mogła niewinnym kwiatem, wzrastającym gdzieś tam na uboczu, kwitnąc z dala od ludzkich siedzib. Opryskana dymem przydrożnych spalin, rośliną wydawać by się mogła niezwykłą, gdybyśmy miast łypnąwszy krótkim spojrzeniem zza brudnej szyby, przystanęli na poboczu by móc bliżej przyjrzeć się jej pięknu. Ach! Gdybyśmy tylko mogli dostrzec jej majestatycznie rozłożyste płatki, być może poznalibyśmy w owym kolorowym cudzie natury tę iskrę, powołana do życia dotykiem delikatnej dłoni anioła, i odbicie jego świętych palców, muśniętych na kruchej łodydze.



Więc czymże jest sztuka? Czy to ekscentryczne dzieła natchnionych maniaków? Lub dziwadła oszalałych dusz artystów, pragnących wyrycić swą gwiazdę wśród odętów ludzkich wyobraźni, aby pozostawić trwałą ślad swych rąk na poplamionym krwią

manuskrypcie historii? Cóż znaczą te przedstawienia, pieśni, wiersze i obrazy, oklaskane tysiącami słów, napawające zdumionym zachwytem i otoczone nimbem niezwykłości? Czymże jest „Mona Lisa”, „Ostatnia Wieczerza”, „Hamlet”, „Upiór w Operze” czy „Jezioro Łabędzie”? To jedynie fragmenty płótna splamione mieszaniną farb? Kartki papieru gęsto zdobione literą? Dźwięk, który usłyszeć możemy dzięki narządowi słuchu? A może to jednak coś większego? Fragment nieuchwytnej słowem, zatrzymanej w czasie, ludzkiej duszy, uchwyconej w dzieło? Kawałek CZŁOWIEKA, a może nawet CZŁOWIECZEŃSTWA? Odłamek ludzkiego geniuszu? Czy odgrywają one w naszym życiu jakąś rolę? A może odegrały ją w historii?

To pytanie, na pozór banalne i niewiele znaczące, jest dziś kluczową odpowiedzią. Na co? – pytasz zaskoczony – Co wspólnego ma dzieło Leonarda ze mną i dzisiejszym światem? Jaka jest to rola?

Odpowiadając – czy możemy zgodzić się z tym co napisał Józef Ignacy Kraszewski, który twierdził, iż „Sztuka jest narzędziem do pozyskania łatwego i niewinnego szczęścia. Uposażyć nią dziecię, jest dać mu zapas wrażeń, pożywienie na całe życie. Sztuka otwiera światy nowe, rozszerza widnokrąg, uczy świata, a gdy Bóg dał choć odrobinę tego, co my zwiemy twórczą siłą, cóż to za zachwyty, gdy myśl potrafi rzucić na płótno lub wyśpiewać tonami”? A jeżeli tak to gdzie właściwie jesteśmy teraz? Gdzieśmy w ogóle zawędrowali jako ludzie? Gdzie się zagubiliśmy? Cóż to za moment w naszej historii, gdy za artystę uważa się człowieka kunsztownie układającego kupę w kłozecie, a za dzieło sztuki przyjmuje się uważać manekina w kształcie kobiecego ciała, leżącego w wannie pełnej krwi, którym zajadają się goście? Jaka to chwila ludzkich dziejów, gdy w teatrach setki pustych ludzi o pełnych kieszeniach, zamiast oklaskiwać umierającego Hamleta, czynią to na widok ubabranej krwią „aktorki”, która „artystycznie” ssie palec Papieża, naśladując seks oralny?

A jeżeli rację miał Stanisław Przybyszewski, pisząc, że

„Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu – duszy. Ponieważ jest absolutem, więc nie może być ujętą w żadne karby, nie może być na usługach jakiegokolwiek idei, jest panią, praźródłem, z którego całe życie się wyłoniło. Sztuka stoi nad życiem, wnika w istotę wszechrzeczy, czyta zwykłemu człowiekowi ukryte runy, obejmuje wszechrzecz od jednej wieczności do drugiej, nie zna ni granic, ni praw, zna tylko jedną odwieczną ciągłość i potęgę bytu duszy, kojarzy duszę człowieka z duszą wszech natury, a duszę jednostki uważa za przejaw tamtej”, to czego odbiciem są chore obrazy jakie dziś prezentuje się nam jako jej przejaw?

Tłumaczą nam „mądre głowy”, iż to nie nasze umysły rzeczy i abyśmy niepotrzebnie nie próbowali dojść do sedna. Myślimy wtedy – no tak, przecież coś w tym musi być, skoro tak znamienici ludzie biją temu brawa, może to po prostu nie dla mnie, może zbyt głupi jestem aby to zrozumieć. I wstajemy, wiwatując razem z tłumem, by częścią być tegoż ubranego w garnitur kloaczego widowiska. Uderzamy rytmicznie w dłonie, przybrawszy maskę inteligentnego zachwytu, pragnąc odnaleźć się wśród świata tych, których za elity przyjmować nam przyszło. Intellektualnie muszą stać ponad nami... a może wcale nie? Może to tylko błaga, nieprawdziwa poza, przyjęta przez równie nieprawdziwych ludzi, pełnych paskudnego fałszu, mającego tymże „bogom” poczucie wyższości zapewnić nad śmiertelnikami ? Czy ów niedosiężny Olimp, ze szczytów którego zdają się na nas spoglądać, jest faktycznie Olimpem? A może to tylko ułuda, którą jesteśmy karmieni od lat wczesnego dzieciństwa, a za ową iluzją kryje się tylko kupka brudnego, niewiele wartego, gruzu?

Różnorakie teksty i książki pozujące na pisma mędrców, współczesna kinematografia i na różnoracy „mądrzy” uczeni, profesorowie uniwersyteccy, próbują nas przekonać, wmówić nam, iż sztuka jest rzeczą trudną do pojęcia i należy dzieła ekscentrycznych artystów rozumieć w sposób pokrętny, inny niż

to się zdaje. Debatują nad artystycznie ułożonym kałem – jakie to wzniosłe! Jakie to wspaniałe! Cóż za kunszt! dla zwykłego śmiertelnika niezrozumiały! aby następnie przejść do działu gdzie wybitna aktorka z kunsztowną pieczołowitością odtwarza stosunek oralny z niemniej wielkim aktorem – cóż za technika, jakież to doskonałe, pełne pociągnięcia, rzecz doniosła! Jakiż artyzm! Prawdziwe dzieło! krzyczą, po czym przechodzą by napawać wzrok wspaniałe ułożonymi, pokrwawionymi ciałami niemowląt, na których siedzi kobieta w postrzępionej, ubrudzonej czerwoną posoką, szmacie. „Mój Ty Boże! Cóż za genialność tego widowiska!” – cmokają, aż z zadowolenia. Oj! Nie pojmy tego zwykłe dzieci Boże, ta paskudna hałastrą! przeciętnych zjadaczy chleba, znacznie niżej stojąca intelektualnie od nich – stwierdzają, napawając się i pyszniąc swą, pozorną, intelektualną wyższością nad śmiertelnikami.

Niepomni słów Fausta: „Przestudiowałem wszystkie fakultety, / Ach, filozofię, medycynę, prawo / I w teologię też, niestety, / Do dna samego wgrzyżłem się pracą krwawą – / I jak ten głupiec u mądrości wrót / Stoję – i tyle wiem, com wiedział wprzód.” – współczesnymi czują się Sokratesami, mędrkami tytułując ku czci własnego, bałwochwalczego samochwalstwa. Pędzą ludzi jak bydło, goniąc niczym myśliwy zwierzynę, batożąc i pleniąc wszelkie objawy buntu – złym słowem. Niedobre te, zbuntowane owieczki, kwestionujące zasady świata, które ustalili, należy od stada oddzielić co by zbożnego dzieła nie pasowały swym rebelianckim podejściem. Czarną jestem owcą, tą co to kiedyś jej skarby oferowano, aby zamilknąć raczyła. Mówili: Chodźże tu między nas, na wyprostowanych stań dwu łapach, kimś więcej się staniesz. I gdy przednie już od ziemi oderwałem kopyta, pokracznie ku lepszej, w ich myśl przyszłości, krocząc, gdy wtem łagodny dotyk czyjejś dłoni na moim ramieniu się położył. Odwróciwszy głowę ujrzałem smutną twarz anioła, który jeno tylko głową pokręcił. „Oni Twoi” – cicho wyszeptał, wskazując na stado, i zniknął. Ponownie przednie na ziemię opadły raciczki i uciekłem. Bardzo daleko. Poznawałem krainy, gdzie żadna porządna owieczka nigdy nie powinna się znaleźć.

Poszukiwałem, choć sam nie wiem czego. Z czasem dostrzegłem, iż na dwu od dawna idę nogach (na Bogów! to nie racice!). Łypali na mnie spode łba pasterze mijanych zagród, ze zdziwieniem spoglądali meczący LUDZIE przebrani za owce. Próbowałem do nich, ku wściekłości pasterzy, mówić, ale odpowiadało mi jedynie niezrozumiałe już dla mnie beczenie. „Zamknij się! Precz!” – warczały pasterskie psy i krzyczeli ich Panowie.

Aż pewnego dnia Pan Bóg w niezwykle miejsce skierował me kroki. Przez rozmiękłe wędrowałem wtenczas błota, gdy chwili jednej ze zdumieniem dostrzegłem, iż znalazłem się na czymś w rodzaju starego cmentarzyska, gdzie wystające z ziemi, wiekowe, wyblakłe i zdewastowane straszyły mnie nagrobki. Przykucnąwszy postrzegam przedmiot ledwie wystający ponad powierzchnię mułu, spoczywający cicho i spokojnie, jakby doniośle nawet, w rozmemłanym szlamie. Gdy sięgam po niego, kawałkiem okazuje się być ramy, w jaką wtłoczony jest namalowany na płótnie obraz. Wyciągam go, choć nie bez odrobiny trudu, i postrzegam malunek uśmiechającej się tajemniczo kobiety, która zdaje się spoglądać na mnie niby żywa. Delikatnym ruchem dłoni przetarłszy napis na zdewastowanym, spękany kamieniu, odnajduję jej imię. „Mona Lisa”.

Ujrzałem JA. Leżące w grobie arcydzieło rąk człowieczych, mistrzostwo nad mistrzostwami, sztukę nad sztukami. Zapierający dech w piersiach obraz, prawdziwą doskonałość, rzecz tak idealnie piękną i cudowną, iż nie da się przejść obok niej obojętnie i nie otworzywszy szeroko ust i oczu z zachwyty nad jej kunsztem. Ujrzałem JA – umarłą i pochowaną w zapomnianej mogile na opuszczonym cmentarzu sztuki. Spoczywającą obok innych dzieł Leonardo, wśród kompozycji Mozarta, Chopina i Beethovena, spoczywającą niedaleko obrazów Rembrandta, Raffaella, Botticellego, otoczoną rzeźbami Michała Anioła, Donatella i Myriona, wśród porzucanych traktatów Marka Aureliusza, Sokratesa, Platona i Arystotelesa,

wałających się niedaleko poezji Wergiliusza, Herberta, Horacego, Shakespeare i Dantego, oraz ksiąg Homera, Goethego, Sofoklesa, Byrona i Tołstoja. I wówczas pojąłem, iż nie był to nekropolia dzieł sztuki, lecz cmentarzisko CZŁOWIECZEŃSTWA. Uśmiechnąłem się i zrozumiałem, iż to jest to czego zawsze poszukiwałem.

Powróciłem do zagrody i, pod pozorem zabawy, porwałem kilka owieczek, wprowadziwszy je po cichu z zagrody. Beczały z zadowoleniem w czasie wędrówki, dziwiąc się, iż poza drewnianym płotem jest tak pięknie, a wszakże, wedle słów pasterskich, rozliczne miały tu czyhać na ich niewinne życie zagrożenia. Cóż to?! – zakrzyknęły! zaskoczone gdy znaleźliśmy się u celu. I ujrzałem jak powstają z kolan, zrzuciwszy owcze skóry i przecierając oczy, zupełnie jakby przebudzili się z długiego, zimowego snu. Wśród CZŁOWIECZEŃSTWA na powrót stali się ludźmi, którymi ZAWSZE BYLI. Zabijając w nich piękno i dobro, wtłoczono ich w zwierzęcą powłokę, a teraz znów byli sobą. Ze zdziwieniem patrzyli na swe nogi, ręce i twarze. „To ja?” – zdumione dało usłyszeć się pytanie, gdy ich wzrok błądził pośród wspaniałych okruszków historii. Przeczesywali je wzrokiem, ze zdumieniem stwierdzając, że są one niczym lustro i iż patrząc na nie spoglądają na SIEBIE, przeglądając się w nich niby w tafli kryształowo czystej wody.

Widziałem, że jak i ja – nigdy już nie powrócą do bezpiecznej zagrody. Będą się błąkać wśród kolei losu, odnosić zwycięstwa i ponosić porażki, to wstając i to upadając wciąż. Lecz już na zawsze pozostanie w nich ta boska iskra, będąca wołaniem o wolność i prawdę, zmuszając ich do poszukiwania odpowiedzi na pytanie – KIM JESTEŚMY?

Bo to właśnie tym jest sztuka – to próba odpowiedzi na pytanie o nas samych i sens naszego istnienia. To drogowskaz wiodący nas ku zrozumieniu SIEBIE, prowadzący nas wgłąb duszy. Doskonale rozumieją to Ci, którzy pragną byśmy byli zgubieni, mający się za naszych przywódców. Pompujący olbrzymie środki w nicość, nihilizm i hedonizm, więżą oni miliony ludzi w pustce

materializmu, pchając ich ku zezwierzęceniu i popędom, oddalając człowieka od jego prawdziwej natury. Bo kimże łatwiej władać? Próżniakiem, który jedynie dobra materialne dostrzega, niczego nie poszukującym i nie zadającym pytań? Czy może człowiekiem pytającym i poszukującym odpowiedzi, który zna swą wartość i wie, iż nie zamyka się ona jedynie w dobrach, które posiada? Ignorancją steruje się prosto – wystarczy podać odpowiednio przygotowane pytanie, przyrządziwszy za wczasu nieskomplikowaną odpowiedź i zaserwować je w prasie czy telewizji. Z wiedzą jest inaczej – ona rozważa, kwestionuje i pragnie prawdy, a nie prostoty. Nie da się jej więc oszukać banałem. Uczyniono więc wszystko, abyśmy od niej trzymali się z daleka – pogrzebano ją i oddalono od nas, ukrywając głęboko przed naszym wzrokiem, pod same oczy podstawiając nam za to paskudztwa, które sami nazwali sztuką.

Karmiąc społeczeństwa szkaradztwem zniszczono człowieka, wyjaławiając go z człowieczeństwa i odsuwając od dobra i piękna. I tak bezwartościową brzydotę nazwano pięknem, ignorancję mądrością, bezwarunkowe posłuszeństwo odpowiedzialnością obywatelską, a fekalia dziełem artystycznym. I nie stało się to wszystko przypadkiem. To NIGDY nie był przypadek! i nigdy nie będzie. Tak jak w oczach człowieka uwrażliwionego na piękno nigdy nie będzie dziełem sztuki kobieta siedząca na trupach niemowląt czy trzymająca czaszkę kozła. I nie. To nie jest kwestia gustu, jak niektórzy chcieliby utrzymywać. Leonardo Da Vinci spoglądając na dzieła Mariny Abramovic zapewne wzdrygnąłby się jedynie z obrzydzeniem, nie sądząc, iż ma do czynienia ze „sztuką”. I miałaby rację, bowiem ta „artystka” nie ma z nią nic wspólnego – jej „dzieła” to jedynie potwór naszych czasów, udający coś czym nigdy nie był i przebrany w maskę, będącą w rzeczywistości pustą skorupą, która tylko w chorych oczach nadaje mu doniosły wygląd. Nie kryje się za tym nic. Nie ma to żadnej wartości, a tym bardziej nie da się tego określić sztuką! To po prostu nic pozuające na wybitność. Jakże to

równać można z „Mona Lisą” czy dziełami Michała Anioła, nazywając wszystkie te rzeczy jednym mianem i stawiając obok siebie! Czy ktoś zdrowy na umyśle mógłby takie rzeczy robić? A jednak, tak się właśnie czyni, hańbiąc geniusz tych naprawdę wielkich i zrzucając go na dno, znak równości postawiwszy między dziełem wybitnym i obrzydliwością, między arcydziełem i fekaliami. W ten sposób morduje się sztukę, zabijając za tegoż pośrednictwem także nasze dusze. Leonardo napisał, iż „My dzięki sztuce możemy się zwać wnukami Boga”. To właśnie tu rozgrywa się ta najważniejsza z wojen, nie toczona za pomocą karabinów, lecz słów! gdzie stawką jest nie tron czy prezydencki fotel – lecz CZŁOWIEK I JEGO ISTOTA.

Autorstwo: MnTV

Zdjęcie: [perseomedusa \(pl.DepositPhotos.com\)](http://perseomedusa.pl/DepositPhotos.com)

Źródło: WolneMedia.net